Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 2. Październik 1930. Rok I.

NUMER POJEDYŃCZY 80 GROSZY
PRENUMERATA KWARTALNA 2 ZŁOTE

KURJER POWIEŚCIOWY

Czasopismo poświęcone książce. Wychodzi raz na miesiąc

CENY OGŁOSZEŃ: Cała strona 200 Zł., $1/2$ strony 110 Zł., $1/4$ strony 60 Zł.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

Telefon 275-03. Senatorska 29. Warszawa. P. K. O. 13.355

Kronika literacka.

„Noc Listopadowa" i **„W pętach bezwładu"**, Edmund Jezierski. Najtragiczniejszym epizodem dziejów porozbiorowych Polski jest bezsprzecznie rewolucja 1830 — 1831 r., której 100-ną rocznicę w roku bieżącym obchodzimy. Bohaterski poryw całego narodu, ofiarność i zapał wojska i młodzieży, rokujące świetne zwycięstwo nad ciemięzcą moskiewskim i wyzwolenie z pęt niewoli, zostały zmarnowane przez małostkowość, prywatę i nieudolność wodzów i działaczy, którzy się na pierwszy plan wysunęli... Oni tylko zmarnowali wspaniały, jedyny może w dziejach świata czyn nocy 29 listopada, gdy garść młodych podchorążych, donośnem wezwaniem: do broni!... jakby kołacąc do serc i sumień narodu, zdołała obudzić go ze snu niewoli i, porwawszy za sobą, poprowadzić przeciwko potężnemu wrogowi, zmuszając go tem samem, pomimo przewagi sił, do ustąpienia...

Z pośród współczesnych działaczy, wyróżnia się najkorzystniej postać Piotra Wysockiego, twórcy nocy listopadowej, prawdziwego rycerza bez skazy i trwogi, który, służąc li tylko sprawie wolności, nie dążył do zaszczytów i odznak, a gdy sprawa upadła, wzięty do niewoli moskiewskiej, w męczeństwie swojem wznieść się potrafił na najwyższy stopień bohaterstwa, wysoko dzierżąc sztandar godności Polaka!

Pełne tragizmu dzieje jego na tle ściśle historycznego opisu przebiegu rewolucji 1830 — 1831, barwnem piórem opisał znany pisarz, Edmund Jezierski. Od samego początku zajmują one i przykuwają uwagę czytelnika, odsłaniając przed nim wiele nieznanych kart dziejów z przed stu lat. Powieść ta winna znaleźć się we wszystkich domach polskich, jako cenna pamiątka roku jubileuszowego, jako wspomnienie koszmarnej przeszłości naszego narodu, i jako świadectwo bohaterskich wysiłków i zmagań naszych pradziadów celem odzyskania tak przez wszystkich umiłowanej wolności.

„Parada Miłości", Zofja Dromlewiczowa. Parada Miłości, w której główną rolę kreował słynny artysta francuski, Chevalier, to historja walki między miłością a dumą, kończąca się zwycięstwem uczucia. Powieść ta, będąca wolną przeróbką świetnego filmu o tym samym tytule, napisana jest lekko, barwnie i zajmująco. Od pierwszej chwili czytelnik zainteresowany jest postaciami bohaterów skreślonych jasno i dowcipnie i przez cały czas interesuje się żywo ich losem.

Powieść „Parada Miłości" czyta się jednym tchem, gdyż utalentowana autorka posiada dar szczerego oddania namiętności ludzkich.

Okładka książki jest ozdobiona piękną postacią Maurice Chevalier oraz jego głównej partnerki.

Ogromne honorarjum. Głośny francuski artysta filmowy i kabaretowy, Maurice Chevalier, ma występować od 1 do 15 grudnia w teatrze londyńskim Dominion.

Za występy te Chevalier ma otrzymać 50 proc. dochodu brutto teatru powyższego, przyczem dyrekcja poręczyła mu, że jego część dochodu wyniesie nie mniej, niż 8.000 funt. sterl. (około 348.000 złotych) za te dwa tygodnie.

Noc Listopadowa.

I.

Głuchą ciszę wczesnego jesiennego poranku przerwało nagle donośne warczenie bębna...

Jakby odpowiedzią mu były rozgłośne to ziewania, to przeciąganie się, to wreszcie i przekleństwa, miotane pod adresem dobosza, bijącego zawzięcie w bęben zwykły werbel poranny.

Wielu nakrywało się cienkiemi derami na głowę, jakby chcąc stłumić głos ten niemiły i odwlec w ten sposób przykrą chwilę wstawania, — napróżno jednak...

Bęben warczał zajadle, budząc najbardziej nawet zaspanych, a zresztą — za chwilę wejdzie na salę oficer inspekcyjny, pociągając do kary najbardziej opieszałych...

Zrywali się też czemprędzej z twardych łóż swoich młodzi podchorążowie, przeciąganiem się i przeraźliwem ziewaniem odpędzając resztki snu, ubierając się spiesznie przy migotliwem świetle kaganka olejnego, by następnie wypaść na korytarz, do wielkich umywalni z zimną wodą, i tam umywszy się, kończyć ubieranie, by w przepisowym czasie stanąć do modlitwy i śniadania.

Z prychaniem i parskaniem, jak stado młodych źrebców, oblewali się zimną, lodowatą wodą, a obtarłszy się, kładli na się nie zwykłe mundury codzienne, a galowe, w jakich tylko na parady na Saskim Placu, wobec cesarzewicza Konstantego występowali.

Blady świt październikowy zaglądał już przez okna koszar, gdy kończyli ubieranie, kontrolując spiesznie a bacznie jeden drugiego, czy sprzączki w porządku są zaciągnięte, czy guziki świecą się, jak lustro, czy lederwerki natarte są kredą do śnieżnej białości, — ażeby tylko baczne oko inspekcyjnego nie dostrzegło jakiej niedokładności, narażając na karę niechybną.

Skończono wreszcie... Schodza czwórkami do jadalni, tam krótka modlitwa, śniadanie, złożone z żurku gorącego i chleba czarnego, poczem wszyscy wysypują się na dziedziniec szkolny, ustawiają się w szeregach....

Komenda:

— Broń na ramię!... W lewo patrz!

Wyprężają się, jak struny, podchorążowie, a przed frontem ich przechodzi komendant szkoły, podpułkownik Olędzki, bacznem, zda się nawskroś przenikającem spojrzeniem mierząc każdego, szukając uchybień...

Przegląd skończony. Pada znów komenda:

— Na prawo zwrot! Czwórkami zachodź, marsz!...

I kolumna szkoły podchorażych, człapiąc w rzadkiem błocie, rusza przez park Łazienkowski, przechodząc przez most pod pomnikiem króla Jana III, a potem Agrykolą ku górze, poczem Ujazdowską, Nowym Światem ku miastu, ku placowi Krasińskich...

Smutnym wielce i ponurym dziwnie był ten poranek dn. 2 października 1824 r.

Na szarem, ponurem tle nieba przewalały się i kłębiły zwały ciemnych chmur, pędzonych przez wicher, grożących każdej chwili deszczem...

Ulice miasta, jakby czyjemiś niewidzialnemi rękoma, zawieszone były bezgranicznemi, zda się, płachtami sino-białych mgieł, zasłaniających wszystko jakby futerałem z waty, w którą dziwnie liczni tego ranka przechodnie pogrążali się jakby z wstrętem i odrazą...

Wszystkiemi krętemi, ciasnemi, wąskiemi uliczkami miasta ciągnęły dziwnym korowodem rzesze ludzkie, — mężowie i niewiasty, młodzi i starzy, bogaci i ubodzy, ciągnęły ze wszystkich stron z koszar swoich oddziały wojskowe, a celem ich wędrówki był — położony prawie że w środku miasta, między pałacem Rzeczypospolitej, teatrem Narodowym i kościołem OO. Pijarów — plac Krasińskich...

Gdy oddział szkoły podchorążych wybijając sprężyście tempo, wszedł na ten plac, stały tam już w potężnym czworoboku oddziały nieomal wszystkich wojsk garnizonu warszawskiego, polskie i rosyjskie.

Stały sprężone, w barwnych swych mundurach, i mimo niesprzyjającej aury, w tak cudnym ordynku, jak na placu Saskim w chwili, gdy miał się zjawić na przegląd największy ich miłośnik, a zarazem i tyran najsroższy — sam wielki książę cesarzewicz, Konstanty Pawłowicz.

Na twarzach oficerów i żołnierzy maluje się powaga i smutek...

Udzielają się one kłębiącym się za nimi tłumom szarej, bezbarwnej publiczności cywilnej, zapełniającej pozostały poza czworobokiem, pusty plac...

Napływały tam liczne strumienie ludzkie zewszechstron, by być widzami dziwnego zaiste misterjum, które się na tym placu dnia tego rozegrać miało...

Misterjum pohańbienia i męki narodowej...

Misterjum tragicznego wielce, w którem trzy pierwsze ofiary na stos męczeński wstępować miały...

Misterjum, w którem dążeniom narodu do wolności, do uzyskania i utrzymania naturalnych praw jego, pierwszy dotkliwy, acz nie śmiertelny cios zadać miano...

I mimo, że plac olbrzymi tłumy przepełniały, cisza panowała na nim grobowa, cisza taka, jaka tylko być może na pogrzebie umiłowanych a drogich wszystkim osób...

W szeregach wojsk nawet broń nie szczęknęła, a oczy wszystkich zwrócone były na stojącą pośrodku czworoboku grupę wyższych oficerów, oczekujących na przybycie skazańców...

Naraz ciszę tę przerwało głuche, jakby przez krepę, warczenie bębnów... Jednocześnie z tem dał się słyszeć ciężki turkot kół wozu i walenie kopyt końskich o bruk...

Głowy wszystkich, jak na komendę, zwróciły się w stronę ulicy Długiej...

A po chwili wyłonił się z niej oddział żandarmów konnych, w stosowanych kapeluszach, otaczających wysoki, otwarty furgon, w którym, górując nad wszystkimi, widoczne były stojące trzy wyniosłe postacie męzkie, w świetnych mundurach oficerów wojsk polskich, z błyszczącemi orderami na piersiach...

Twarze ich pobladłe, wycieńczone długim pobytem w więzieniu karmelickiem, ze śladami udręk zadanych badaniami i torturami, pełne powagi, dostojności i dumy były...

Rozstąpił się zwarty tłum ludu, przepuszczając żandarmów i ten wóz haniebny... Jak na milczącą komendę obnażały się głowy wszystkich, kornym ukłonem witając przybyłych, cześć i hołd najniższy im oddając, jakby nie skazańcami, karze haniebnej podległymi, lecz triumfatorami byli... jakby nie pokonanymi w tej walce bezkrwawej bojownikami, lecz zwycięzcami byli... jakby nie na furgonie hańby, a na rydwanie triumfalnym jechali..

Trzech ich tylko było — Łukasiński, Dobrogoyski i Dobrzycki... trzech tylko, gdyż dwaj ze współoskarżonych towarzyszy niedoli, Dzwonkowski i Życ, nie mogąc przetrzymać tortur przy badaniu, obawiając się w mękach wyznać coś, co szkodę sprawie przynieść by mogło, woleli śmiercią samobójczą skończyć...

Naród jednak i wojsko widzieli w nich siebie, widzieli dążenia swoje i pragnienia najgorętsze, ginące pod naciskiem przemocy, widzieli w nich pogrzebanie marzeń swoich i życzeń najskrytszych...

Z ponurym brzękiem żelaza toczył się wolno po bruku furgon — rydwan, aż wreszcie przy czworoboku wojsk stanął. Sprężyły się wojska na rzuconą komendę:

— Baczność! prezentuj broń! — a oczy wszystkich skierowały się na postacie trzech skazańców...

Otoczeni koliskiem żandarmów z obnażonemi szablami, pewnym, śmiałym, żołnierskim krokiem weszli do środka czworoboku, witani honorami wojskowemi, które im jeszcze przysługiwały, i na wskazanych miejscach stanęli, patrząc wokoło dumnym, spokojnym wzrokiem, z podniesionemi do góry głowami...

Zamilkło warczenie bębnów i naprzód wystąpił audytor wojskowy w mundurze galowym, i rozwinąwszy trzymany w ręku wielki arkusz papieru, monotonnym głosem odczytywać zaczął, — jako major Walerjan Łukasiński, kapitan Ignacy Dobrogoyski i porucznik Mikołaj Dobrzycki — winni są zmowy i należenia do tajnych stowarzyszeń, mających za cel bunt przeciwko władzy prawowitej, i na mocy wyroku Sądu Wojskowego skazani są na pozbawienie rang oficerskich i praw stanu; oraz oprócz tego Łukasiński na 9 lat więzienia, Dobrogoyski i Dobrzycki na 6 lat więzienia, łaską miłościwie panującego cara króla zmniejszonych Łukasińskiemu do lat 7, a Dobrogoyskiemu i Dobrzyckiemu do lat 4.

Skończył czytanie audytor i cofnął się do grupy dygnitarzy wojskowych i sądowych, a wtedy, na dany znak, z poza tej grupy wystąpił, jakby kryjący się do tego czasu w cieniu, mężczyzna wysoki, barczysty, w

czerń przyodziany, o twarzy pospolitej, ponurej, okrutnej, i spiesznemi krokami podszedł do skazańców, stojących w pewnej odległości jeden od drugiego, a mających po bokach po dwóch żandarmów.

Poznały go tłumy i jakby lęk cichy przebiegł wśród nich...

Był to kat stołeczny...

Rozległo się znów głuche, ponure warczenie bębnów, które nie milkło już ani na chwilę przez cały czas trwania tej straszliwej ceremonji...

Kat zaś podszedł do pierwszego majora Łukasińskiego, jednem brutalnem szarpnięciem zdarł mu naramienniki, zerwał z piersi ordery i rzucił pod stopy, w błoto placu, a wyciągnąwszy z pochwy szpadę jego, złamał mu ją nad głową, poczem szczątki rzucił również pod nogi.

Głuchemu trzaskowi łamanej szpady towarzyszył cichy jęk zebranego tłumu, zdławiony szloch i płacz rozpaczny, którego nikt prawie powstrzymać nie mógł.

Wojsko tylko, trzymane w karbach dyscypliną, stało nieruchome, sprężone, choć po twarzy niejednego z oficerów i żołnierzy, zarówno tych, co pamiętali sławne boje napoleońskie, jak i młodzieży ze szkoły podchorążych i innej, rzęsiste łzy spływały.

Skończył kat z Łukasińskim, podszedł do Dobrogoyskiego i Dobrzyckiego, by nad nimi tę samą straszliwą ceremonję odprawić...

A gdy legły już na ziemi, w błocie placu, zdarte naramienniki i ordery, połamane szpady, cofnął się kat, a do skazańców podbiegli pachołcy jego, o twarzach ohydnych, zwierzęcych, i zdzierać z nich poczęli świetne mundury oficerskie, nakładając wzamian szare, zgrzebne siermięgi więzienne...

C. d. n. *Edmund Jezierski.*

Parada Miłości.

Powieść podług scenarjusza filmowego.

I.

Schody mnożyły się w nieskończoność.

— Nie przypuszczałem nigdy, że tyle może być schodów — zapewniał hrabia Alfred de Renard, wojskowy attache ambasady Sylwańskiej, swego nieistniejącego towarzysza.

Należało je pokonać. Należało zwyciężyć jakoś ciągnącą się wciąż przed sobą przestrzeń i dotrzeć nareszcie do upragnionego celu, drzwi własnego mieszkania!

— Czy widziałeś kiedy tyle schodów? — pytał uparcie hrabia Alfred.

Lecz odpowiedzi nie było.

— Nie odpowiadasz, nie trzeba — mruknął hrabia Alfred — może naprawdę wcale cię niema!

Schody ciągnęły się wciąż przed nim.

— Trudno, nie dam im rady — zdecydował wreszcie i z rezygnacją usiadł na stopniu.

— Czy mi się zdaje, że schody się kołyszą — pomyślał, — może zresztą nie jestem wcale na schodach, a poprostu na kołyszącym się, podczas burzy, statku. Lub też za chwilę nastąpi trzęsienie ziemi.

Hrabia Alfred począł nadsłuchiwać. Trzęsienie ziemi nie następowało jednak wcale, natomiast długość schodów zmniejszyła się nagle i tuż przed hrabią Alfredem otworzyły się drzwi mieszkania.

— Na miłość boską, proszę pana hrabiego, dlaczego pan śpiewa o tej porze, na schodach? — rozległ się zaaferowany głos, w którym Alfred de Renard z pewną trudnością rozpoznał głos swojego wiernego służącego.

— To ty, Jacques? — zapytał niepewnie.

— To ja. Dlaczego pan hrabia nie wchodzi do mieszkania?

— Bo nie mogłem trafić — żalił się płaczliwym głosem.

— Naturalnie, co rano ta sama historja.

Wierny sługa podparł swego pana ramieniem i troskliwie wprowadził w głąb mieszkania.

— Zrób mi kąpiel, Jacques.

— Dobrze, dobrze, gdzie to pan tak bawił tej nocy.

— Ba, gdybym sam wiedział!

Alfred zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie przeżycia ostatniej nocy.

Jedno tylko było pewne. Oto przez całą noc otaczały go jak zwykle kobiety. Jakaś kobieta całowała go mocno w usta. Tak, ale jaka? Tego przypomnieć sobie nie mógł. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że w jakimś barze wypijał niezliczoną ilość coctailli, w towarzystwie kobiety, że potem na dancingu tańczył tango z kobietą, że następnie w czyimś mieszkaniu całował jakąś kobietę. Czy jednak była to wciąż ta sama kobieta, czy za każdym razem inna, tego przypomnieć sobie nie mógł w żaden sposób, zresztą nie miało to specjalnego znaczenia.

— Nie pamiętam, Jacques, co robiłem — powiedział wreszcie słabym głosem.

— Możeby się pan napił czarnej kawy z cytryną?

— No, wiesz Jacques, tobie się zapewne wydaje, że jestem pijany?

Mimo to czarna kawa została wypita, poczem hrabia Alfred poczuł nowy napływ energji.

— Powiedz mi, czy był kto u mnie wieczorem?

— O, niejeden miałem kłopot przez pana.

— Co się stało?

— Naprzód przyszła ta pani, co była wczoraj. Nie chciała mi wierzyć, że pana hrabiego niema w domu. Powiedziała, że będzie czekać tak długo aż pan powróci.

— No, to jeszcze nic strasznego.

— Tak, ale po piętnastu minutach przyszła druga.

— Boże, co ja cierpię z temi babami, która znowu?

— Nie wiem napewno, ale zdaje się, że to ta, do której pan przedwczoraj posyłał bukiet róż.

— Bukiet róż, czekaj, to Marietta, chociaż nie, tamta dostała orchideje, to pewnie będzie Blanche.

— Może i Blanche — zgodził się chętnie wierny sługa — ale nie o to chodzi...

C. d. n. *Zofja Dromlewiczowa.*

Dlaczego należy prenumerować

Bibljotekę Nowości w Warszawie?

1) Bibljoteka Nowości w Warszawie ma w przygotowaniu następujące dzieła:

1 t. Parada Miłości, 1 t. Pod Dachami Paryża, 1 t. Słoneczko, 1 t. Chcę kochać złodzieja — Z. Dromiewiczowa. 1 t. Rozwody — M. hr. Łubieński. 1 t. Detektyw z miłości — Hugon Conway. 1 t. Kadeci — J. Maciejowski. 1 t. Płomień na wietrze, 1 t. Błysk szczęścia — M. Łuczyńska. 2 t. Maska z Pałacu Królewskiego — J. Relidzyński. 2 t. Gogo w szkarłatach — J. Rzepecka. 2 t. Miljonowy spadek, 2 t. Biała Dama — M. Jokay, oraz w setną rocznicę powstania listopadowego sześciotomowe dzieło historyczne p. t. „Piotr Wysocki“ — Edmunda Jezierskiego.

2) Ponieważ Bibljoteka Nowości w Warszawie dostarcza swym Prenumeratorom książki punktualnie.

3) Ponieważ Bibljoteka Nowości w Warszawie rozkłada płatność prenumeraty na trzy raty:

a) Książki Estetyczne: broszurowane à 8.— zł., w oprawie à 14.— zł.

b) Książki Wytworne: broszurowane à 16.— zł.

4) Ponieważ Bibljoteka Nowości w Warszawie wydaje co sobotę książkę i dostarcza ją bez doliczenia kosztów pocztowych do domu, a zatem zaoszczędza każdemu drogi czas chodzenia po sklepach.

5) Ponieważ Bibljoteka Nowości w Warszawie zaoszczędza każdemu Prenumeratorowi:

na książkach broszurowanych przeszło 20.— zł.

na książkach oprawnych przeszło 30.— zł.

gdyż jeden tom broszurowany w sprzedaży kosztuje 1.50 zł. do 3.— zł., a oprawny 3.— zł. do 4.— zł., podczas gdy prenumerata wynosi tylko:

KSIĄŻKI ESTETYCZNE:

24.— zł. za 26 tomów w broszurze, płatne odrazu, lub w 3 ratach miesięcznych à 8.— zł.

42.— zł. za 26 tomów w oprawie, płatne odrazu, lub w 3 ratach miesięcznych à 14.— zł.

KSIĄŻKI WYTWORNE:

48.— zł. za 26 tomów w broszurze, płatne odrazu, lub w 3 ratach miesięcznych à 16.— zł.

Książki Wytworne są tej samej treści co i książki Estetyczne, wychodzą w każdą sobotę, w formacie 75 × 100, drukowane na pięknym, grubym papierze.

Nie wątpimy, iż po zapoznaniu się z naszym prospektem, każdy zaprenumeruje chętnie

BIBLJOTEKĘ NOWOŚCI W WARSZAWIE
Senatorska 29.

DO BIBLJOTEKI NOWOŚCI

W WARSZAWIE, SENATORSKA 29

Deklaracja

Zamawiam prenumeratę Bibljoteki Nowości w Warszawie, na pół roku, w estetycznej oprawie za 42 zł. lub w broszurze za 24 zł. — płatną odrazu, lub w trzech ratach miesięcznych po zł. 14 lub po zł. 8, lub prenumeratę wytworną w broszurze 48 złot., płatną odrazu, względnie w trzech ratach miesięcznych à 16 zł.

Pieniądze wysyłam jednocześnie przekazem pocztowym, lub wpłacam na P.K.O. № 13,355.

Imię i nazwisko ....

Zawód ....

Miasto ....

poczta ....

U w a g a: Niepotrzebne skreślić.
Wyciąć, wypełnić i przesłać w zapieczętowanej kopercie.

Podpis

Repertuar Teatrów

Norodowy (g. 8): codziennie „Głupi Jakób“ Rittnera.

Letni (g. 8): codziennie „Wszyscyśmy tacy sami“ Fryd. Lonsdale‘a.

Polski (g. 8): codziennie „Kawaler Papa“.

Mały (g. 8): codziennie „Pan Lamberthier“ Verneuille‘a.

Qui Pro Quo — codziennie wielka rewja p. t. „Dwie możliwości“.

Morskie Oko (g. 7.30 i 10): codziennie wielka rewja p. t. „Parada Gwiazd“ z udziałem całego zespołu oraz pp. Pogorzelską i Krukowskim na czele.

Wesoły Wieczór: codziennie rewja „Niebieski Walc“ z udziałem całego zespołu z pp. Gabrielli, Zizi Halamą, Krzewińskim i Rentgenem na czele.

Ananas (Marszałkowska 114) (g. 8 i 10): codziennie wielka rewja „Babie lato“ na czele z Hanką Runowiecką, Niemirzanką, Skwierczyńską, Borońskim i parą baletową Korczyńska — Śnieżyński.

Mignon (Marszałkowska 81b): codziennie wielka rewja artystyczna „Gdy kobieta mówi nie“.

Uśmiech Warszawy (Chłodna 49): rewja p. t. Serce Warszawy“.

Dolina Szwajcarska (g. 7): codziennie koncert orkiestry Filharmonji oraz rewja.

Luna-Park: codziennie atrakcje ogrodowe i w pawilonach rozrywkowych.

REDAKTOR I WYDAWCA: STANISŁAW CUKROWSKI.

Zakł. Gr. Pr. Druk., Warszawa, N.-Świat 54, tel. 15-56 i 242-40